

Rafał Pokrywka

Via Alpina

TOTAL(ITAR)NA AUTOIRONIA (TIMUR VERMES)

Wzorem wielu czytających książki Niemców delectowałem się w ostatnim czasie przygodami Adolfa Hitlera. Śmiałem się do rozpuku przy jego rasistowskich tyradach, z lubością chłonałem zapowiedzi podboju Polski, poranki umilały mi szczegóły z prywatnego życia Himmlera i Göringa, wieczory zaś dowcipy z aluzjami do „żydowskiej finansjery” „Anschlussu”, „Blitzkriegu” i „bolszewickiej propagandy”. I nie był to żaden udawany Hitler i żaden udawany nazizm – to był „on”. Albowiem „on wrócił” i od tej pory nic nie będzie takie samo. No chyba, że będzie takie, jak wtedy.

Timur Vermes, autor utrzymujący, że dotychczas napisał już kilka książek, niestety wszystkie jako ghostwriter, przez co nie możemy sprawdzić, czy on tak zawsze i na serio, zabłysnął ostatnio powieścią *On wrócił* (*Er ist wieder da*), w której na prawach wyłączności przemawia Hitler. Nieświętej pamięci wódz Rzeszy budzi się w Berlinie anno 2011 i wyrusza w świat. Po pierwszych szokujących zderzeniach z cywilizacją, z których otrząsa się rychło i z dyscypliną godną wodza Rzeszy, postanawia zdobyć ponownie władzę. Paradoksalnie sprawa przedstawia się trudniej niż w latach 20. Co prawda środków propagandy jest w bród, sposobów dotarcia do wyborcy o wiele więcej niż podówczas, scena polityczna Niemiec chaotyczna, brak silnych osobowości, brak w ogóle jakiegokolwiek „woli mocy”, a przecież uspiiony naród niemiecki czeka tylko na wezwanie (mówi Hitler), niemniej jednak problem w tym, że jest nikim innym, jak Hitlerem, i co ciekawe (a może wręcz zupełnie zrozumiałe) nikim innym nie chce być. Z tą twarzą, z tym wąsikiem, w swoim prostym, lecz charakterystycznym mundurze, którego żadną siłą nie chce dać sobie odebrać, może zostać „oswojony” tylko na jeden sposób – jako komik. I jako komik wkroczyć do polityki.

Problemy piętrzą się jeden za drugim. Hitler, perfekcyjny, a jakże, w swoim hitleryzmie, dość szybko znajduje drogę do telewizji i odpowiednich ludzi, na fali „przełamania konwencji” gotowych zaryzykować coś nowego – komedianta, który będzie idealnym Hitlerem i w tych samych słowach, które padały na zjeździe NSDAP w Norymberdze, które szczerzyły się z *Mein Kampf*, które nieustannie rozbrzmiewały w stacjach nadawczych Europy podczas drugiej wojny, przedstawi „prawdę” o sytuacji ojczyzny. Komizm niemiecki nie jest już bowiem tym samym, co przed laty, on stał się metakomizmem, autoironicznym skierowanym wsobnie narzędziem opisu świata, w którym nie tyle liczy się usiłowanie dotarcia do prawdy

(a tę Hitler, zdaniem Hitlera, prześwietla na wylot), co zabawne i nieautorytatywne przedstawienie własnego stanowiska. I tu jest miejsce dla niechcianego Führera. Jako autorytatywność ucieleśniona nie może być rozumiany inaczej niż opacznie. „Udaje” Hitlera idealnie i bez najmniejszej stylizacji, bez „sztuczności” (jeśli w ogóle można mówić o naturalności jego medialnego wizerunku), bez mrugania okiem w kierunku publiki, że to tak na niby, że on z Hitlera drwi, a nie z siebie, i że zaraz ktoś pośliznie się na bananie, żeby moc dowcipu potwierdzić. Hitler anno 2011, ten nowy, medialny Hitler 2.0 nie drwi, nie szydzi i nie mruga, on miążdży siłą swej retoryki i obłądnych argumentów, którym nikt nie waży się postawić antytezy. Wskazuje swym dyktatorskim palcem na społeczne nieprawidłowości, pomiatą wielkimi tego świata, zachłystuje się własnymi diatrybami, co rusz przypominając o sukcesach z lat 1933–1945, o zdobyciu tych i tamtych ziem, ofensywach, oblężeniach, egzekucjach.

I tu właśnie ma być zabawny. Hitler nie rozumie, że pod jego nieobecność dokonał się przełom nie tylko w sztuce humoru, ale również w sposobie patrzenia na świat. Z pełną powagą wstępuje na mównicę, z której rozsiewa swe grzmiące tyrady. Na początku swej kariery witany jest konsternacją, lecz nastroje szybko ulegają zmianie, publiczność adaptuje się błyskawicznie do nowego dowcipu, jeszcze bardziej absurdałnego niż ten, który znała dotychczas. To tylko kwestia wejścia na kolejny poziom autoironii – Hitler znowu w Niemczech, znowu szerzy propagandę, obiecuje porządek i ostateczne rozwiązania? A jakże! Czemu nie? Toż to medialny strzał w dziesiątkę i sposób na utarcie nosa tym co mniej autoironicznym politykom. Popularność zdobywa się bowiem przez rozrywkę i rozgłos, przez transgresję, luz i młodzieżowy look. Ale Hitler jest już właśnie meta-transgresyjny, bo luz i look go nie interesują, bo chce być dostojny i przez to uwypukla groteskowość nie tylko swoją (to oczywiste), lecz również wszystkich tych, którzy na płomyczku sztucznego luzu próbują upiec swoją wyborczą kielbasę. Wydawałoby się, że czas wielkich, charyzmatycznych polityków bez cienia humoru odszedł w niepamięć, jest jednak na odwrót – nic nie jest bardziej skuteczne, jeśli tylko podane w autoironicznym sosie.

Hitler wierzy w niemiecką młodzież, w niej cała nadzieja. Niemiecka młodzież tymczasem, jak młodzież całego świata, ceni sobie występy w YouTube, im głupsze, tym lepsze, lubuje się w autotelicznym bezmyślnym humorze i dogłębnie przewartościowanym kiczu. Polscy rówieśnicy słuchają disco polo, naturalnie z pełną świadomością jego wartości artystycznej, w Japonii zakochują się w postaciach z kreskówek i oblewają szambem, w Stanach młodzież ubóstwia też jakieś oblewanie, siebie samych oczywiście, byleby „totalnie” autoironicznie, niech będzie, że szambem, ale w sumie to można też do niego wskoczyć, by pokazać swoją niezależność, pozycję „ponad”, horacjańskie mężne trwanie wśród pospólstwa. To dla nich Hitler będzie nowym idolem, bo jest... Hitlerem. Bo tego jeszcze nie było, bo jest zabawny aż do bólu, bo przekracza wszelkie granice. Lecz również: bo jest konsekwentny, bo nigdy nie zdradza siebie, bo jego image jest perfekcyjny, bo nie

ustępuje, bo oklaski i euforia podczas jego wystąpień coraz bardziej zaczynają przypominać te z Norymbergi, bo gdy wznosi tryumfalny okrzyk „Sieg!” odpowiada mu niezachwiane „Heil!” (autoironiczne oczywiście, ale kto tak naprawdę wie, gdzie kończy się granica?). Starsi ludzie nie rozumieją dowcipu, dla nich Wódz to nie jest historia, to jest sama prawda, dla jednych gorzka, dla innych chwalebna, oni nie załapią się na ironiczną fetę, oni dadzą się po prostu dawnymi, prostymi sposobami i propagandą rodem z Goebbelsa przekonać, że w kraju jest źle, że nie potrzebujemy Unii Europejskiej, że politycy są idiotami, że obcokrajowcy tylko do usługiwania, że w tym cudownym, sterylnym, niemieckim kraju, przez tak wielu kojarzonym z porządkiem i dobrobytem, tyle rzeczy nie funkcjonuje „normalnie” i że oto pojawił się nowy/stary apostoł normalności, który bezwzględnie i nieugięście otworzy nam oczy na prawdę.

To jest książka o podwójnym i potrójnym dnie, jak przystało na manifest autoironicznego humoru. Jej bohater jest, owszem, charyzmatyczny i konsekwentny, z drugiej jednak strony oępiony swoją wizją dziejów i sofistyczną retoryką. To, co może się wydawać przebiegłością, jest w gruncie rzeczy ograniczeniem i ślepotą na najprostsze sprawy współczesnego świata. Z obserwacji wolnorynkowej i medialnej rzeczywistości wyciąga wnioski naiwne i błędne, które jednak podobają się szerokim masom miłośników „prostych prawd”, nie wspominając o wyznawcach teorii spiskowych. Hitler nie jest wolterowskim prostaczkiem, który swym naiwnym rozumowaniem i dziecinnymi pytaniami obnaża absurdy cywilizacji, nie jest oświeceniowym człowiekiem natury, nie jest figurą „przebudzonego”, których wiele w najnowszej literaturze, by wspomnieć choćby ostatnią głośną sztukę Lukasa Bärfussa *Witaj, Dora*, gdzie wyrwana z farmakologicznego transu dziewczyna wywleka na światło dzienne seksualne zakłamania dorosłych.

Hitler przybywa do świata medialnych iluzji i na sposób indukcyjny, z wybranych dowodów oraz iluzorycznych poszlak, urabia sobie swoją własną iluzję, na tyle jednak perswazyjną, by móc przekonać masy. Tak oto czytelnik, który niby to wie, gdzie jest „prawda”, i wie, że Hitler to ten zły i że na pewno nie ma racji, nagle zaczyna wątpić w obliczu mnogości opcji. Jeśli wszystko jest umowne i wszystko da się przedstawić na wiele sposobów, co zwykle nazywane jest demokratycznym błogosławieństwem pluralizmu, to tak naprawdę nie istnieje nic poza konwencją, i nawet Hitler, reprezentant pokolenia posągowych, charyzmatycznych wodzów, będzie musiał konwencji się pokłonić – czy tego zechce, czy nie. W całej swej rozczulającej niemalże naiwności nie spostrzeże, że jest obiektem żartów. On się jednak nie zmienia, to społeczeństwo ulegnie przemianie, kolejnej sterowanej medialnie transgresji, i w końcu ujrzy w Hitlerze nie tylko orędownika prostego ludu, lecz również męczennika sprawy narodowej i wschodzącą (ponownie) gwiazdę polityki.

Najgorsze jednak, że Vermes nie zostawia czytelnikowi wyboru. Jak zauważono w recenzjach książki, tylko do pewnego momentu śmiejemy się z Hitlera, później śmiejemy się wraz z nim. Abstrahując od apologii obozów i groteskowych tyrad przeciwko żydowskiej finansjerze, wypada chyba stwierdzić, że Hitler „ma

rację”. Gdy krytykuje sieciowe sklepy, idiotyczne programy telewizyjne w godzinach przedpołudniowych, miałkie nagłówki gazety „Bild” (u nas „Fakt”), indolencję parlamentarzystów i ślepe uliczki demokracji (wolność dla wszystkich, bez granic), kiwamy głową – wbrew sobie, bo to przecież Hitler. Co za monstrum z tego autora. Wybrał największego zbrodniarza świata, by objawił nam prawdę. Nawet jeśli nie damy się uwieść jego sofizmatom, to pewne wnioski nasuną się same – w języku, sposobie bycia, kulturze zachowania, zasadach i konsekwencji jest ten literacki Hitler (niestety) osobowością. Próżno szukać takiej wśród współczesnych przywódców (nic na to nie poradzę). Jako człowiek pierwszej połowy XX wieku, reprezentant epoki tak odległej, że aż mitycznej, bywały i odcytany (na to wygląda), ze wzgardą odrzuca to, co dziś uważamy za kulturę.

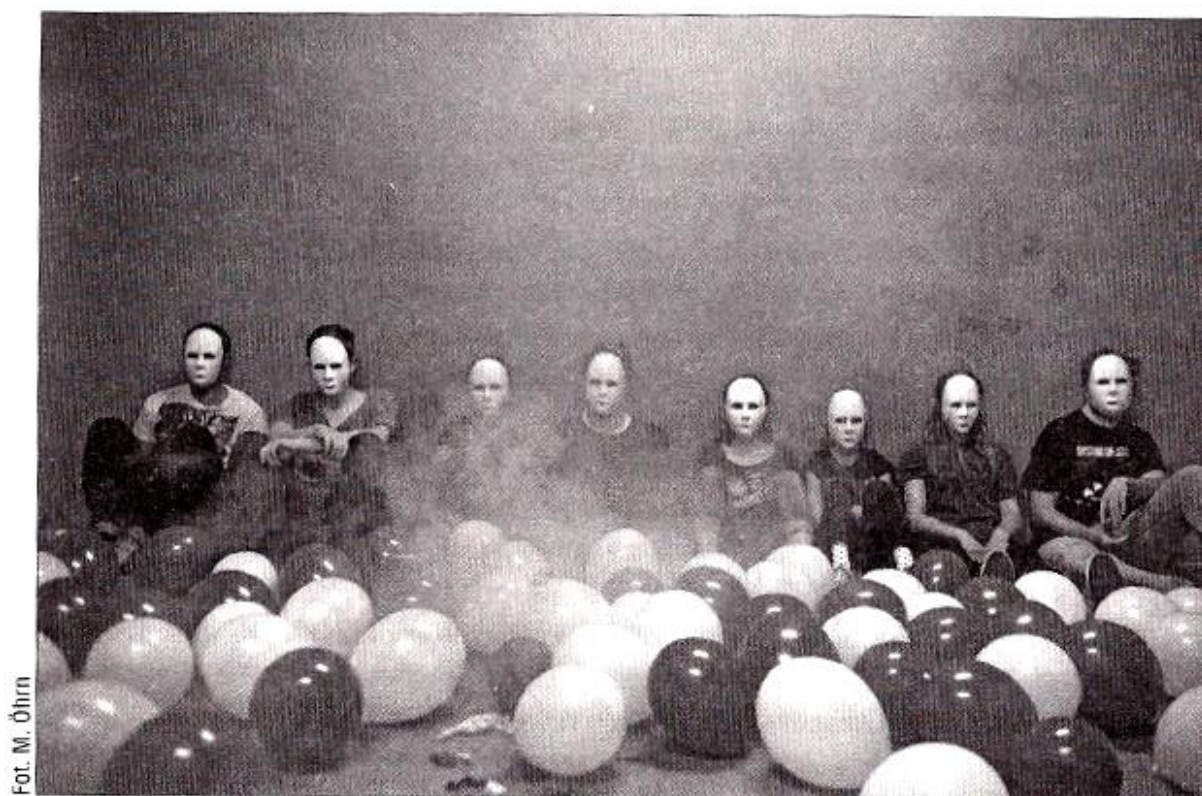
Niestety – powtórzmy to jeszcze raz – ten Hitler robi wrażenie, ten zbrodniarz na tle medialnego rynsztoku, z którego tak łapczywie wyławiamy ziarna prawdy i wątle pociechy, budzi szacunek, a nawet (wybaczcie pradziadowie) sympatię. Okrucieństwo tej książki nie polega tylko na tym, że wskrzesza wyklętego dyktatora, to jest okrucieństwo uczłowieczenia i przybliżenia. Przed czym wzbierał się cały aparat propagandowy Trzeciej Rzeszy – przedstawieniem wodza jako człowieka, ze wszystkimi ludzkimi słabościami – udaje się tutaj, gdy towarzyszymy Führerowi – miłośnikowi natury podczas spaceru, gdy cieszymy się z nim pięknym dniem i szukamy mieszkania, gdy pociesza wątpiących i gromi błędzących.

Potrafimy naturalnie otrząsnąć się z tych iluzji, przyjąć tryb lektury nastawiony na odkrywanie retorycznych strategii, zaprząć do pracy cały literaturoznawczy aparat konwencjonalnego osławiania, badania komizmu, psychoanalityczne narzędzia zgłębiania osobowości, wpływów podświadomych. Można spostrzec, że Vermes załatwia w tej książce swoje interesy, daje upust antypatiom, bo przecież Hitlerowi (literackiemu) wszystko wolno, przecież na każdy zarzut czy pozew do sądu można odpowiedzieć, że to *licentia poetica*, i że to bohater-narrator, niemożliwy do utożsamienia z autorem *etc.* Wokół wypowiedzi artystycznych nadbudowano w końcu cały system zastrzeżeń i ograniczeń, w razie gdyby ktoś poczuł się urażony. A tych jest wielu, począwszy od czołowych polityków, których powieściowy Adolf bezwzględnie chłosta i miesza (w długich, wielokrotnie złożonych zdaniach) z błotem. Nie jest przy tym wulgarny, jego język nie zna prostej agresji, tam wszystko ubrane jest w staromodne synonimy i rozszerzone przydawki, kolejny powód, by go lubić, kolejny powód, by skonstruować – ze współczesnym stylem polityki, z językiem mediów, z językiem ludu. Niestety znów popełniam „błąd afektywności” (Wimsatt i Beardsley), czytam uczuciowo i angażuję się. I to dla kogo?

Wszystko to oczywiście niebezpieczne i w dzisiejszych Niemczech bardzo drażliwe. Tak i w opiniach medialnych przeważają opinie o groźbie powrotu totalitaryzmu, o zgubnych skutkach wolności, o sile propagandy. Lecz tu i ówdzie słychać głosy, że powieść Vermesa to przecież satyra na współczesność. I byłoby to piękne i chwalebne, gdyby nie ten Hitler. W satyrach zawsze chodziło o sympatię z satyrykiem, przyznanie mu racji, uznanie jego intelektualnej wyższości. Jakże przy-

jemnie i wygodnie czytało się Woltera, Montesquieu, Diderota! Ci nie byli jeszcze autoironiczni, tam, gdzie my widzimy kolejne meta-poziomy, oni odkrywali różnice pochodzenia i wykształcenia, nietolerancję, konflikty kultury z naturą. Vermes, przewrotny, to dziecko swego czasu, i pytam się, czy jego samego nie oszołomiła ta ryzykowna gra, ten język, który, jak się wydaje, przestudiował gruntownie, czy sam nie przyklasnąłby Hitlerowi. Tego się jednak nie dowiemy, przecież Vermesa w tej książce nie ma. Jest tylko lustro dla zadowolonego z siebie czytelnika, które podtrzymuje mu mistrz ceremonii, nowa nadzieja polityki i nowa pocieszna figura niemieckiej literatury, podwójnie i potrójnie ironiczny, kontestator i popkulturowy błazen. A jednak śmiertelnie poważny i świadom swojego przeznaczenia. On wrócił. I w ogóle się nie zmienił.

Rafał Pokrywka



Fot. M. Öhrn

Bohaterowie przyszłości, koncepcja i reżyseria Markus Öhrn, Komuna/Warszawa.
Festiwal Nowego Teatru. 53. Rzeszowskie Spotkania Teatralne Rzeszów 2014.